



© RAFAŁ KLIMKIEWICZ/EDYTOR.NET

Mieszkanke śląskich Wilamowic w tradycyjnych strojach.

JĘZYKI  
ROKU

# Szczęśliwe języki, którymi ktoś chce mówić

UNESCO ogłosiło 2019 rokiem rdzennych języków. Dziś język, żeby przetrwać, musi mieć szczęście. Polscy badacze starają się w tym pomóc.

JOANNA CIEŚLA

**N**auka mówi o tym „rewitalizacja”. Ale początek pracy często przypomina raczej śledztwo. Na przykład w Kalabrii. Kto po prostu przyjedzie nacieszyć się śródziemnomorskim krajobrazem, może chodzić uliczkami miasteczka Bova Marina całe tygodnie i nie usłyszeć ani słowa w innym języku niż oficjalny włoski. A w regionie wciąż żyje grekański, pozostałość antycznego greckiego osadnictwa. – *To język najbardziej podobny do dzisiejszego greckiego, ale i od niego różny* – wyjaśnia dr Stanisław Kordasiewicz z Wydziału Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. – *Zostały w nim słowa pochodzące z antycznej greki, które we współczesnym greckim nie występują. Np. „teraz” to arte, „tak” – mane, „ojciec” – ciuri.*

Grekański zna 200–300 ludzi, większość powyżej 70 lat. Ale wyrosła też grupa młodych, którzy chcą ten język uratować, rozwijać go, by żył. Szkołą się w ratunkowych metodach, jeżdżą na konferencje, szukają w świecie gotowych do pomocy ekspertów. I właśnie ci młodzi prowadzą badaczy, z ich dyktafonami i kamerami, do starszych. Starsi często cieszą się, że mogą porozmawiać w języku, którego 50 lat nie używali; że zjawia się ktoś, kto przywołuje wspomnienia z młodości. Bywają też jednak oporni, jeśli to wspomnienia bólu, wstydu, upokorzeń, że mówią po wiejsku i prosto. Więc znów jak w śledztwie trzeba przekonać ludzi do mówienia.

**Ale język rokwita w ciepłe.** Badacz pyta więc o to, co miłe – o dawne święta, zwyczaje, o pracę przed laty. A przy tym włoski się wpycha, wtrąca, trzeba odławiać słowa, uparcie zawracać

na grekańskie tory. Część takich rozmów przepisują potem i drukują w podręcznikach. Ci nowi, młodzi, wczytują się w nie na kursach, letnich szkołach. I dyskutują, skąd brać słowa na określenie tego, czego nie było, gdy grekański jeszcze miał się dobrze, w XIX w.? Na przykład „lodówka” – zapożyczyć ze współczesnego greckiego czy stworzyć neologizm w grekańskim, trzymając się jego słowotwórczych zasad? Znaczący podpowiadają, że lepiej tworzyć słowa na bazie własnego języka. Na specjalnych warsztatach ktoś więc wymyśla, że na lodówkę można mówić „zimna skrzynka”. – *Potem takie słowo przemycą się w tekście albo w rozmowie z ludźmi, którzy w spotkaniu nie uczestniczyli* – opowiada dr Kordasiewicz – *i sprawdza, czy jest zrozumiałe. A może budzi opór jako dziwaczne lub sztuczne?* „Zimna skrzynka” z sukcesem przeszła test. Czy wejdzie do codziennego języka? Czy mieszkańcy ▶

► Kalabrii zechcą mówić w odtworzonym grekańskim we własnych kuchniach i sklepach?

Na razie młodzi po grekańsku piszą do siebie na WhatsAppie i Facebooku. Choć od strony prawnej grekański we Włoszech podlega ochronie, a naukę można by opłacać z publicznych pieniędzy, formalnie lekcje może prowadzić tylko nauczyciel z uniwersyteckim przygotowaniem. A nie ma nauczycieli z dyplomami, którzy jednocześnie znaliby grekański. – *Ale sam proces namysłu nad językiem, rozmowa o grekańskim po grekańsku też jest częścią jego rozwoju* – zauważa dr Kordasiewicz.

Program, w którym bierze udział grekański, to jedno z przedsięwzięć Centrum Zaangażowanych Badań nad Ciągłością Kulturową, którym na Wydziale Artes Liberales kieruje dr hab. Justyna Olko. W ramach projektu Rise COLING wraz z 12 partnerami z Europy, Meksyku i Stanów Zjednoczonych – naukowcami oraz aktywistami z małych społeczności – będą prowadzić badania, przygotowywać publikacje, ale i platformę internetową oraz grę na smartfony, wspierając nauczanie mniejszościowych języków. Chcą pokazać, że małe języki to dla małych społeczności duże możliwości rozwoju.

Ogłoszony przez UNESCO rok języków rdzennych daje szansę na większą siłę argumentów także w rozmowach z ludźmi z lokalnych władz. Na co dzień autorytet pracowników akademickich, najlepiej z odległych miejsc, okazuje się niezbędny, by uznali rdzenne języki za ważne, zasługujące na opiekę i troskę.

W początkach XX w. coraz bardziej powszechne systemy edukacyjne nastawione były na model państwowo-narodowy, z jednym silnie dominującym językiem. Te mniejsze, tradycyjne, w najlepszym razie lekceważono, w gorszym niszczone je i pogardzano nimi. Zwłaszcza tam, gdzie doszedł do głosu totalitaryzm, jak m.in. we Włoszech.

**W Polsce z 40 rdzennych języków i językowych odmian przed wojną do dziś przetrwało 17.** W większości zagrożonych wyginięciem. UNESCO szacuje, że na świecie w poważnym niebezpieczeństwie jest ok. 2,7 tys. języków – prawie połowa obecnie używanych. Tu i ówdzie stosunek do nich zaczyna się zmieniać, odkrywają je 20–30-latk, młodzi epoki poindustrialnej, doceniającej indywidualizm. Wnuki tych, którzy własnym dzieciom – w obawie przed niechęcią, dyskryminacją czy prześladowaniami – przekazali dawny język mimochodem albo i niechętnie. Następne pokolenie było ciut odważniejsze, a wnuki albo się



Szkoła terenowa projektu „Zaangażowana humanistyka”, San Miguel Tenango. Indianki Nahuatl czytające książkę w języku nahuatl, wydaną przez zespół z UW we współpracy z lokalnymi autorami.

nie boją, albo nie zważają na przeszkody. We włoskiej Kalabrii o życie grekańskiego walczy 30-latk Maria Olimpia Squillaci, w Polsce o wilamowski, używany jedynie w trzytyśięcznych Wilamowicach na południu kraju – 25-letni Tymoteusz Król (patrz POLITYKA 13/17).

To szczęście języka, dające szansę na przetrwanie, najczęściej oznacza więc, że trafia na silnych ludzi, którzy nie będą się wstydzili. Zrozumieją jego znaczenie. Zechcą szukać dla niego pomocy.

**Justyna Olko od lat bada kulturę aztecką** – czasy prekolumbijskie, okres wczesnokolonialny. Praca z dawnymi dokumentami w języku nahuatl była jednym z jej naukowych zainteresowań. Nahuatl to język ludów Nahuatl, popularnie zwanych Aztekami, posługiwali się nim też mieszkańcy sąsiadujących dziś z Meksykiem krajów. Dr hab. Olko nazywa go łącznie Ameryk. Do polskiego wzięliśmy z niego m.in. „awokado”, „kakao”, „czekoladę”.

– *W nahuatl powstało najwięcej indiańskich tekstów na terenie obu Ameryk, tysiące dokumentów, pisanych przez Indian alfabetem łacińskim. Zanurzając się w archiwalnym świecie, nie zdawałam sobie sprawy, jak smutna jest współczesna rzeczywistość tego języka. Byłam przekonana, że jest on ważną częścią spuścizny Meksyku i Ameryki Łacińskiej, że działają mechanizmy wspierające użycie go. Że jest bezpieczny – wyznaje badaczka.*

Włączając do prac jednego z projektów współczesny język, zorientowała się, że w rzeczywistości nahuatl dotyka codzienna dyskryminacja. Paradoksalnie zaczęła się na dobre po odzyskaniu niepodległości przez Meksyk w XIX w. Za Korony

Hiszpańskiej *indios*, rdzenni mieszkańcy, mieli przywileje, prawo do ziemi i edukację w swoich językach, nawet jeśli uczono ich głównie religii. – *Państwo meksykańskie w imię równego traktowania obywateli pozbawiło Indian szczególnych praw. A XX-wieczna polityka edukacyjna przyjęła, że hispanizacja jest jedyną drogą do nowoczesności. Do dzisiaj cała edukacja wielokulturowa jest fikcją, piękną retoryką państwa, w którym nauczyciele czasem dziedziczą stanowiska po rodzicach – często w ogóle nie znają nahuatl.*

Dr hab. Olko poznawała tych, którzy wciąż mają go w sobie, słuchała o tym, co przeszli. O kpinach i razach od nauczycieli za nieporadność w hiszpańskim. O zmianach nazwisk, aby tylko nie były indiańskie – bolesnych jak wypieranie się kawałka duszy. O przekazywaniu tego wyparcia dzieciom. I nabrała przekonania, że język, który odpierał kolonizację przez 500 lat, zginie przed końcem jej własnego życia. – *W 2010 r. używanie nahuatl zadeklarowało 1,5 mln osób. Można usłyszeć nieodpowiedzialne głosy, że po cóż w takim razie rewitalizować? Ale zdecydowana większość tych użytkowników jest po pięćdziesiątce – i nie przekazuje języka młodszemu. Zwłaszcza tam, gdzie ludzie boją się o ekonomiczne przetrwanie, gdzie jest migracja, gdzie naprawdę ciężko się żyje, język jest ostatnim, czym będą się zajmować. Chcą zarobić jakiś pieniądź i chronić swoje dzieci przed cierpieniem.*

Jeśli język jest zabijany przez poniżenie i wstyd, to dla ratowania języka trzeba podnieść jego prestiż. Frazesy takie, jak „Wasz język jest piękny i warto, żebyście nim mówili”, nie trafiają do przekonania. – *Musimy przyjść i mówić w tym języku*

– tłumaczy Justyna Olko. – *To jest autentyczne, pokazuje, że wykonaliśmy pracę, by się na przykład nahuatl nauczyć.* Na spotkaniach w wioskach jest przejęcie i wzruszenie: „Słuchajcie, myśmy nasz język porzucili, a tu przyjeżdżają ludzie z Europy i nim mówią. Więc on ma wartość!”. Ujmuje ich, że inicjał imienia i nazwisko polskiej badaczki w nahuatl oznacza „w sercu”. Ci, którzy język przez dekady skrywali, nagle zaczynają się odzywać, by przy zagranicznych badaczach pochwalić się, błysnąć. To od Polaków nieraz dopiero uczą się po swojemu pisać. Dowiadują o piśmiennictwie nahuatl.

**W szkole nie uczą się o tekstach tworzonych przez stulecia.** Poznają je na warsztatach w Archiwum Narodowym w Meksyku, w budynku byłego więzienia, gdzie tych dokumentów jest najwięcej na świecie. Choć do niedawna właśnie nahuatl nie było tam słycać. Tylko angielski, hiszpański, niemiecki – teksty próbowali rozszyfrować światowi naukowcy. Justyna Olko z partnerami i współpracownikami zaczęła zwoływać do Archiwum użytkowników języka z całego Meksyku. Ostatnio spotkali się w październiku – 40–50 Indian plus naukowcy mówiący wyłącznie w nahuatl, wszystko bez użycia hiszpańskiego. Wyświetlają archiwalny dokument na ekranie, odczytują i dyskutują. Badacze mogą zrozumieć frazy pominięte przez gramatyki czy słowniki. Indianie oglądają oryginały dokumentów, mogą ich dotknąć.

I znów są emocje, zwłaszcza gdy do dokumenty z regionów, z których uczestnicy pochodzą. – *Nagle widzę: „To są nasze słowa! Tak dzisiaj mówimy!”.* *To włączające czytanie historii pozwala im odnieść się do własnej sytuacji. Daje poczucie sprawczości. W tych tekstach bywa opisane, jak Indianie radzili sobie z opresją, jak walczyli o ziemię, zabezpieczali swoje interesy.* Dziś wyzwania i potrzeby są inne, ale inspiracja daje siłę.

Spotykają się potem, tworzą fora i grupy w realu, a badacze również ze społecznościami utrzymują kontakt. Pojechali do Meksyku z ludźmi z Wilamowic w ramach projektu „Zaangażowana humanistyka”. Bo Centrum Zaangażowanych Badań nad Ciągłością Kulturową kilka lat temu rozszerzyło badania na zagrożone języki używane też u nas, oprócz wilamowskiego – łemkowski, kaszubski. Dla Indian młodzi wilamowianie, którzy ze swojego małego języka zrobili sprawę znaną dziś w całej Polsce, są wzorami walki i determinacji. Sami na razie czekają, aż wyrośnie im ktoś podobny. Zagrożony język, nawet gdy uda mu się odbić, wymaga dogłębnej pilnowania, ciągłej troski.

Na przykład na wyspie Man, między Wielką Brytanią a Irlandią. Historia rdzennego celtyckiego języka manx zdaje się jasną opowieścią o wskrzeszeniu. W latach 70. zmarł ostatni człowiek, miejscowy rybak i poeta, posługujący się manx jako językiem ojczystym. Lokalni aktywiści rzucili się ratować język, zorganizowano kursy, lekcje, a nawet dwujęzyczne szkoły. Użytkowników manx zrobiły się prawie 2 tys. Ale tych, którzy mówią nim jako pierwszym językiem, jest ledwie kilkudziesięciu. Za mało, żeby być spokojnym o jego przyszłość. By język w człowieka wrósł, człowiek musi się w nim zanurzyć, przynajmniej jedno z rodziców powinno używać go w domu. A to psychologicznie trudne nagle z mężem czy żoną umówić się na przestawkę: z angielskiego na manx, tak jak z włoskiego na grekański, z polskiego na łemkowski – z każdym zdaniem odierać desant używanych przez lata zwrotów. Wymaga determinacji i dyscypliny. Wielkiej miłości do języka.

Szkolne zajęcia nie wystarczą, czego dowodzi także wiele polskich projektów, nieraz kosztownych, popularyzacji choćby kaszubskiego czy łemkowskiego. Nie wystarczy życzliwe nastawienie państwa, choć jednocześnie jest konieczne. Podejście do języka to zresztą jedna z najdelikatniejszych warstw polityki, żyzny grunt dla drażliwych pytań: o tożsamość narodową, czające się separatyzmy, o to, kto ma wskazywać poprawne formy gramatyczne, właściwe warianty wymowy?

**Jest wreszcie i to pytanie: czy warto za cenę wielkiego wysiłku ratować coś, co odchodzi?** Czy stoi za tym sens inny niż ten prawno-człowieczy, uznawany czasem za sentymentalny – że każdy język to osobna prawda o historii, tradycji, emocjach, relacjach? Te pytania stawiają też ci, których nauczyciele przez dekady przekonywali, że jeśli będą mówili do swoich dzieci w nahuatl czy, powiedzmy, po łemkowsku, to te dzieci nie będą mówić dobrze po hiszpańsku albo po polsku. Będą mieć gorzej w życiu.

Tyle że dziś wiadomo, że jest akurat odwrotnie. Otoczony troską, zadbany język się odwdzięczy. Pomoże dzieciom. Pokazują to wyniki badań, głównie w USA. Indianie Navaho i Ojibwe, którzy w lokalnej społeczności przynajmniej osiem lat uczyli się we własnym rdzennym języku, mają lepsze wyniki do końca edukacji niż ich rówieśnicy wychowani w dominującym angielskim. Te lepsze wyniki osiągają także na studiach – prowadzonych przecież wyłącznie po angielsku – choć uczyli się go jako drugiego języka.

Szerokimi pożytkami – dla umysłu i zdrowia – z dwujęzyczności świat nauki

zachwyca się od lat konsekwentnie. Najślynniejsze ostatnio są informacje dotyczące demencji. U ludzi dwujęzycznych, stale przełączających się z jednego języka na drugi, jej objawy pojawiają się kilka lat później niż u tych, którzy mówią tylko w jednym języku.

Z innych badań wynika, że jeśli jeden z tych języków jest rdzenny, użytkownikowi szczególnie bliski, to człowiek taki ma bardziej spójne poczucie tożsamości, lepiej radzi sobie ze sobą i z innymi. – *Wiemy, jakie są negatywne konsekwencje tracenia języka – liczbowo, ponad wszelkie wątpliwości. M.in. w społecznościach kanadyjskich Indian wykazano, że tam, gdzie ponad połowa ludności zachowała język rdzenny, współczynnik samobójstw jest prawie 10 razy niższy niż w społecznościach Indian, którzy stracili język. Tam wynosi średnio około 100 na 100 tys. W społecznościach, które zachowały swój język, niższe jest też ryzyko zachorowań na rozmaite choroby – układu krążenia, cukrzycę* – podkreśla Justyna Olko.

Natura tych związków nie jest oczywista. Polscy naukowcy z Wydziału Artes Liberales we współpracy z Ośrodkiem Badań nad Upředzeniami, kierowanym przez prof. Michała Bilewicza, chcą przyjrzeć się podobnym zależnościom na terenie Polski – w Wilamowicach, na Łemkowszczyźnie, wśród ukraińskich imigrantów, a także w Meksyku i Salwadorze. Projekt nazywa się „Językowe antidotum”. Uczeń widzą w nim szansę na odbudowę tożsamości, siły społeczności, żeby ludzie poczuli się bardziej sprawczy. Chcą wykazać, że inwestycja w rdzenny język jest inwestycją w zdrowie i dobrostan.

I wreszcie pokazać, że wbrew wątpliwościom z rdzennego języka można wyżyć. Nie sprzedając np. tani folklor, cepelię, lecz rozwijając turystykę – niemasową, dla autentycznie zainteresowanych innym spojrzeniem, kulturowym dziedzictwem, czymś więcej niż morze i plaża. Stanisław Kordasiewicz dodaje, że jego marzeniem jest, by światowe korporacje, które w statutach mają odpowiedzialność społeczną i wrażliwość na różnorodność, wspierały zagrożone języki częścią środków: – *Globalnie jesteśmy już na tyle zasobni, że stać nas na to, by inwestować w ratowanie dziedzictwa. A dzięki temu dalej pomnażać różnorakie dobra.* Czerpać z rdzennych języków zakodowaną w nich wiedzę o roztropnym użytkowaniu przyrody. Korzystać z różniących się punktów widzenia pracowników wielojęzycznych, z różnych kultur, przykładających do rzeczywistości różne szablony. Doprawdy, smutny i prosty byłby świat mówiący wyłącznie w biznes English.

JOANNA CIEŚLA